

LESLEY KARA

THRILLER OPARTY
NA PRAWDZIWEJ HISTORII

PLOTKA

Elektryzująca mieszanka strachu, podejrzeń i wzajemnych oskarżeń. Lesley Kara myli tropy aż do ostatniej strony - aby kompletnie nas zaskoczyć.

PAULA HAWKINS

autorka *Dziewczyny z pociągu*



Lesley Kara

Plotka

Tłumaczenie Monika Bukowska

Tytuł oryginału: *The Rumour*

Copyright © Lesley Kara 2018.

Lesley Kara has asserted her right under the Copyright, Designs and Patents Act 1988 to be identified as the author of this work.

Copyright © for the translation by Monika Bukowska

Wydawca prowadzący: Olga Orzel-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Malocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i lamowanie: d2d.pl

Projekt okładki: ...

Fotografia na okładce: ...

Fotografia autorki: ...

ISBN 978-83-7515-562-4



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Moim rodzicom,
Harry'emu i Doreen,
z wyrazami miłości*

„Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy,
by sam przy tem nie stał się potworem. Zaś
gdy długo spoglądasz w bezdeń, spogląda
bezdeń także w ciebie”.

Fryderyk Nietzsche, *Poza dobrem i złem*,
tłum. Stanisław Wyrzykowski

To znowu się dzieje. Nie pytajcie, skąd to wiem. Po prostu wiem. Widzę to po tym, jak kłębią się fale, jak przewalają się naprzód. Szybko. Bezlitośnie. Czuję po tym, jak powietrze szczypie mi skórę, rozpoznaję w zapachu gnijących liści i wilgotnej ziemi, wyczuwam w ciszy wron obserwujących wszystko w milczeniu. Znowu po mnie idziecie i nic nie mogę zrobić, by was powstrzymać.

Właśnie tak to się odbywa. Jednego wieczoru kładę się spać i wszystko jest w porządku. Wszystko jest pod kontrolą. Opowieść przestała być tylko opowieścią. Stała się prawdziwa. Niezniszczalna. Zwarta i twarda jak beton. A gdy się budzę następnego dnia, wszystko jest już inne. Przez noc pojawiły się szczeliny i dociera do mnie, że cały ten czas się oszukiwałam, że moje życie zawsze było zaledwie kruchą konstrukcją.

Jestem zwierzyną łowną. To się nigdy nie zmieni.

Wszystko zaczyna się od plotki. Od szeptów w szkolnej bramie.

Z początku tak właściwie nie słucham. Obiecałam Dave'owi, że rano odbiorę klucze od domu przy Maple Drive i tam spotkam się z klientem. Nie mam czasu, by stać z nimi i plotkować o głupotach.

Ale wtedy dostrzegam minę Debbie Barton, widzę, jak otwiera buzię ze zdziwienia, i ciekawość bierze górę.

– Powtórz to – mówi Debbie. – Bo chyba się przesłyszałam.

Przysuwam się, tak samo jak Fatima, mama małej Ketify. Mama Jake'a – ma na imię Cathy? – zanim znowu się odezwie, rozgląda się na boki, przedłużając swoje pięć minut niekoniecznie zasłużonej sławy.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że słynna morderczyni mieszka tutaj, we Flinstead – mówi, po czym zawiesza głos dla wywołania lepszego efektu. – Pod nowym nazwiskiem, rzecz jasna. Zamordowała małego chłopca, gdy miała dziesięć lat, jakoś w latach sześćdziesiątych. Wbiła mu nóż kuchenny prosto w serce.

Rozlega się zbiorowy jęk. Fatima przykłada rękę do piersi.

– Sally McGowan – mówi Cathy. – Wygooglujcie sobie w domu.

Sally McGowan. Skądś znam to nazwisko. Pewnie z jakiegoś filmu dokumentalnego na Channel 5, które czasami oglądam, gdy nie mam nic lepszego do roboty. Coś o małoletnich mordercach.

– Kto ci o tym powiedział? – pytam.

Cathy bierze głęboki oddech.

– Powiedzmy, że ktoś, kto zna osobę, której były mąż jest glina, a jego partner pracował przy programie ochrony świadków. To może być tylko plotka, ale wiecie, co mówią, w każdej jest ziarno prawdy. Mój mąż twierdzi, że takich ludzi zawsze umieszczają w małych miasteczkach jak nasze.

Debbie cmoka z dezaprobatą.

– Uważam, że to, jak cackają się z tymi potworami, jest obrzydliwe. W końcu kasa na to idzie z naszych podatków, prawda?

– Wołałabyś, żeby żądny zemsty tłum nie dawał im spokoju?

Wszystkie trzy kobiety spoglądają na mnie. Powinnam trzymać gębę na kłódkę, ale czasami nie umiem się powstrzymać. Nie wiem nawet, po co w ogóle słucham tych bzdur. Mogłam przewidzieć, jak się to skończy.

Cathy prychnęła.

– Owszem, Joanno, wołałabym. To nie w porządku, że komuś takiemu zapewniamy specjalne traktowanie. A co z rodzicami chłopca, którego zamordowała? Im jakoś nikt nie dał szansy rozpoczęcia życia na nowo, co nie?

– Pewnie to nieprawda – wtrąca się Fatima. – A nawet jeśli, nic na to nie poradzimy. To było wiele lat temu. Nie sądzę, żeby ta kobieta nadal stanowiła zagrożenie.

Kochana Fatima o złotym sercu. Muszę zaprosić ją na kawę, lepiej poznać. Ale nie dzisiaj. Spóźnię się, jeśli zostanę tu choć chwilę dłużej.

– Dzięki, Jo. Naprawdę doceniam, że to robisz, chociaż masz dziś wolne.

Dave wręcza mi klucze i plan domu przy Maple Drive 24, świeżo wydrukowany na papierze firmowym z nowym logo agencji Pegtona.

– To żaden problem – odpowiadam.

To prawda. Trudno byłoby znaleźć drugiego tak elastycznego pracodawcę jak Dave Pegton. A dostanie pracy, której godziny pokrywają się z planem lekcji Alfiego i której biuro znajduje się tak blisko domu, było darem niebios.

Dom. Za to też powinnam podziękować Dave'owi. Mały szeregowiec z dwiema sypialniami, który eufemistycznie określił jako „potrzebujący czyjejś miłości”. Ot, gwara zawodowa. Tym, czego naprawdę mu potrzeba, jest intensywna terapia, ale wiedząc, że na nic lepszego nie mogę sobie pozwolić, zdecydowałam się na jego kupno. Nowy dom. Nowa praca. A wszystko dlatego, że weszłam do właściwej agencji nieruchomości we właściwym czasie. Trudno nie nazwać tego szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Dave wraca za biurko.

– I powodzenia z panią Marchant – rzuca mi na pożegnanie.

– Dlaczego? Coś z nią nie tak?

Mój szef uśmiecha się tajemniczo.

– Wkrótce sama się przekonasz.

Zanim zdążę go podpytać, dzwoni telefon i Dave zaczyna rozmowę z klientem.

Maple Drive to mozaika domów z lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia. Niektóre wolnostojące, ale większość to bliźniaki. Nie jest to najdroższa ulica we Flinstead – najbogatsi mieszkają w okolicy zwanej Groves – ale cieszy się powodzeniem, zwłaszcza jej część położona bliżej morza, gdzie właśnie mieści się dom pod numerem 24. Dave dał w katalogu opis „z widokiem na morze”, z czym można się zgodzić, jeśli otworzy się okno w sypialni, wychyli i spojrzy w lewo. Trafniejszym określeniem byłby „przebłysk morza”, ale poza tym to naprawdę ładny dom. Dobrze utrzymany. Z zadbanym ogrodem przed wejściem. I nawet przebłysk morza dodaje mu uroku.

Susan Marchant otwiera drzwi, zanim nawet zdąży nacisnąć dzwonek. Na moje radosne „dzień dobry” odpowiada ledwie skinieniem głowy. Spodziewam się, że zrobi krok w tył i zaprosi mnie do środka, ale ona dalej stoi w drzwiach, jakbym była jednym z akwizytorów z listy wywieszanej koło dzwonka. Nieproszonym gościem.

– Miałam nadzieję, że będę mogła rozejrzeć się po domu, zanim przyjdą potencjalni nabywcy – mówię. – Żeby się zaznajomić z układem mieszkania.

Uważam, że dobrze jest być przygotowanym, co ma się komuś pokazać. Nie wszyscy sprzątają dom przed wizytą potencjalnych kupców. Spotkałam się chyba z każdym rodzajem dziwnych i nieprzyjemnych niespodzianek. Brudne majtki porozrzucane po podłodze. Duża, brązowa kupa zwinięta w muszli klozetowej jak uśpiony wąż. Choć z tego, co widzę ponad ramieniem Susan Marchant, wynika, że tutaj nic takiego mnie nie czeka. Jest tu niemal sterylnie czysto, pokoje są do połowy puste. Wygląda na to, że właścicielka przeniosła już większość mebli i sprzętu domowego do szopy.

– Po co? – pyta, marszcząc brwi. – Nie macie rozkładu domu w swoich dokumentach? – W jej oczach i głosie uderza zaskakujący chłód.

– Mamy, ale...

– Tak czy owak za późno – mówi, zerkając na ulicę. – To pewnie Anne Wilson.

Odwracam się i widzę podjeżdżające renault clio. Kobieta w bladzielonym płaszczu przeciwdeszczowym, z włosami o dwóch odcieniach – ciemny blond z miedzianymi końcówkami – wysiada od strony pasażera, podnosi rękę i uśmiecha się do mnie. Bogu niech będą dzięki za uśmiechniętych ludzi. Zaraz dołącza do niej kierowca, wysoki, dystygowany mężczyzna o srebrzystosiwych włosach. Mam wrażenie, że chciałby móc przed nią otworzyć drzwi, gdyby tylko dała mu taką możliwość. Idą w naszą stronę, trzymając się za ręce, więc albo należą do tych rzadkich par, które wciąż są w sobie zakochane po wielu latach małżeństwa, albo też jest to świeża znajomość. Stawiałabym na to drugie.

To jedna z rzeczy, które uwielbiam w tej pracy – ciągle poznaję nowych ludzi. Ze strzępów informacji, które odsłaniają na swój temat, próbuję odgadnąć, jacy są naprawdę. A oglądanie domów klientów jest zdecydowanie najlepszą częścią tej pracy. Tash, moja najbliższa przyjaciółka, twierdzi, że to dlatego, że jestem wścibska. Nie obrażam się o to, bo ona jest dokładnie taka sama.

Raz w Brighton, dokąd wyjechała na weekend z chłopakiem, udawali, że są zainteresowani kupnem luksusowego apartamentu, tylko po to, by móc zajrzeć do środka. Uśmiecham się do siebie na samo wspomnienie. Musieli zaparkować swoje rozklekotane stare volvo kilka przecznic dalej, żeby pośrednik nie zobaczył, jak z niego wysiadają. Często wspominam tę historię, kiedy się umawiam z potencjalnymi nabywcami. Nigdy nie wiadomo, jakie ludzie mają intencje.

- Dzień dobry, nazywam się Joanna Critchley, pracuję dla agencji Pegtona. Bardzo mi miło.

Wymieniamy uściski dłoni. Anna Wilson jest atrakcyjną kobietą, ale z pewnością robiła coś z twarzą. Skórę ma charakterystycznie błyszczącą i napiętą, a usta i policzki okrągłe od wypełniacza. Odwracam wzrok, by nie pomyślała, że się na nią gapię.

- A to Susan Marchant, właścicielka.

Ale ta zdążyła się już odwrócić i zmierza w stronę schodów, stukając obcasami po parkiecie. Co za nieuprzejme babsko. Nic dziwnego, że Dave'owi tak bardzo zależało, żebym to ja się zajęła tą sprawą. No i kto chodzi po własnym mieszkaniu w butach na wysokich obcasach?

Biorę głęboki oddech.

- Zaczniemy od salonu, dobrze?

To nie najlepszy początek. Kupowanie nowego domu jest stresujące samo w sobie. Odpychający właściciel czasem wystarczy, by odstraszyć potencjalnych nabywców. Chociaż może właśnie o to chodzi Susan Marchant. Może została zmuszona do sprzedaży domu przez niewiernego byłego męża, który liczy na spory udział w zyskach z nieruchomości, i postanowiła zniechęcić jak największą liczbę kupców. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy sama nie zrobiłabym tak samo.

Kiedy wracam z pracy, mimowolnie porównuję swój ciasny dom i jego niemodny wystrój z tamtą wspaniałą, przestronną willą, którą przed chwilą oglądałam, i już za chwilę przeglądam w internecie kolory farb. Obiecałam sobie, że zajmę się urządzeniem wnętrza, gdy tylko Alfie zaaklimatyzuje się w szkole. Jest już październik, a ja nic nie zrobiłam.

Wtedy przypomina mi się, co Cathy powiedziała o Sally McGowan. Jej pobyt w naszym mieście to pewnie historia

wyssana z palca i udratyzowana, ale co mi szkodzi szybko sprawdzić. Wszystko, byle tylko nie zajmować się domem.

Wpisuję jej nazwisko w wyszukiwarce i wyskakuje mi sto dziewięć milionów wyników oraz ziarniste czarno-białe zdjęcie dziecięcej twarzy. Bez uśmiechu, z wyzywającym spojrzeniem, ale mimo to uderzająco pięknej. Już je kiedyś widziałam. Teraz sobie przypominam. Słynne zdjęcie z kartoteki policyjnej.

Według Wikipedii Sally McGowan urodziła się w Broughton w dystrykcie Salford. W 1969 roku, mając dziesięć lat, zabiła nożem pięcioletniego Robbiego Harrisa. To sensacyjna sprawa, która podzieliła kraj. Czy dziewczynka była zimną psychopatką, czy też ofiarą wieloletniego zaniedbania i przemocy ze strony rodziców? Sama tłumaczyła, że ta śmierć była wynikiem wypadku podczas zabawy, ale nikt jej nie wierzył. W każdym razie nie opinia publiczna. Ludzie byli oburzeni, kiedy skazano ją za nieumyślne spowodowanie śmierci, a nie za zabójstwo.

Sprawdzam inne strony. Dziewczynę wypuszczono z poprawczaka w 1981 roku i przyznano jej nową tożsamość. Sześć lat później namierzyli ją dziennikarze. Pracowała wtedy jako krawcowa w Coventry i miała dziecko. Przeglądam kolejne zdjęcia. Siedemnastoletnia Sally grająca w bilard w zakładzie poprawczym. Jest coś prowokacyjnego w tym, jak pochyla się nad stołem, choć może to tylko kwestia ujęcia.

Teraz spoglądam na młodą, szczupłą, dwudziestokilkuletnią kobietę, która zasłania twarz. Przebiegam wzrokiem parę następnych stron. Kolejna zmiana nazwiska. Kolejna przeprowadzka. Nie licząc artykułów w brukowcach o tym, że ktoś rzekomo widział Sally, albo opisujących niekończące się cierpienia rodziny Robbiego Harrisa, nic więcej o niej nie ma.

Upijam łyk kawy. A co, jeśli ta kobieta rzeczywiście mieszka we Flinstead? Przecież gdzieś musi przebywać, więc niby czemu nie tu? Nagle przypomina mi się ta koszmarne klientka, Susan Marchant. To pewnie tylko zbieg okoliczności, że ma takie same inicjały, ale mimowolnie oczami wyobraźni nakładam twarz dziesięcioletniej Sally McGowan na jej. Rysy się pokrywają.

Rzucam iPada na drugi koniec sofy. To niedorzeczne. Wystarczyła jedna głupia plotka zasłyszana w szkole, a moja wyobraźnia szaleje. Jeśli Susan Marchant byłaby Sally McGowan, nie miałyby domu na sprzedaż. Żyłaby sobie gdzieś spokojnie pod ochroną rządu.

I to, że pani Marchant jest głupią krową, nie oznacza, że ma na koncie morderstwo.

WCIĄŻ MAM PRZED OCZAMI KREW – MÓWI
MARGARET COLE, DAWNA KOLEŻANKA I SĄSIADKA
MŁODOCIANEJ ZABÓJCZYNI SALLY MCGOWAN

Autor: Geoff Binns
Wtorek, 3 sierpnia 1999
„Daily Mail”

Dokładnie trzydzieści lat temu Sally McGowan trafiła na pierwsze strony gazet z powodu zabójstwa pięcioletniego Robbiego Harrisa w opuszczonym domu w Broughton w dystrykcie Salford. Miała wtedy dziesięć lat.

Wczoraj jej dawna koleżanka ze szkoły i sąsiadka Margaret Cole podzieliła się z nami wspomnieniami z tamtych czasów. – Wtedy wszystko było inne – opowiada Margaret. – Zupełnie inny świat. Wszystkie dzieci bawiły się na ulicy. Przez większość czasu nasze matki nie wiedziały, gdzie jesteśmy. Wokół nas masowo burzono domy. Dla dorosłych takie życie musiało być koszmarem, ale dzieciom to nie przeszkadzało. Był to dla nas wielki plac zabaw pełen przygód.

Mnóstwo wiktoriańskich domów szeregowych zostało w latach sześćdziesiątych zburzonych, by ustąpić miejsca betonowym wieżowcom. Chroniczne ubóstwo, zaniedbanie i bezrobocie – to była rzeczywistość, w jakiej dorastała Sally McGowan.

– Ale to po prostu był nasz świat – mówi Margaret. – Nie wiedzieliśmy, że jesteśmy zaniedbani. Byliśmy po prostu dziećmi, dla których miejscem zabaw była ulica. Aż pewnego dnia wszystko się zmieniło. Wciąż mam przed oczami krew. Pamiętam, jak wypływała z jego ciała i barwiła mu koszulę na czerwono. Jak się pienią wokół noża. I pamiętam jego oczy. Jego małe, niebieskie oczy. Od razu było wiadomo, że nie żyje.

Zapytana o reakcję na niedawne przyznanie Sally dożywotniej ochrony tożsamości, Margaret odpowiada:

– To chyba nie w porządku po tym, co zrobiła, prawda? To znaczy wiem, że nie miała w domu łatwo, ale wiele innych dzieci wcale nie miało lepiej i jakoś nie zrobiły tego co ona. Sercem jestem z rodziną Robbiego. Ta rocznica pewnie na nowo rozdrapuje stare rany.

Zerkam na zegarek. Cholera. Już prawie kwadrans po trzeciej. Muszę odebrać Alfiego.

Łapię za torebkę, wsuwam adidasę bez wiązania sznurówek i otwieram drzwi. Nie mogę uwierzyć, że zmarnowałam tyle czasu, buszując po internecie, przez co nie zdążyłam zrobić notatek na wieczorne spotkanie klubu książkowego.

Alfie pierwszy wybiega ze szkoły, jego kędzierzawe włosy są wilgotne od potu.

– Dlaczego jesteś taki zgrzany?

– Mieliśmy wuef – odpowiada. – Wspiąłem się na samą górę drabinek.

Nie wiem, jak mam reagować, gdy mój synek robi takie rzeczy. Kiedy byłam mała, nadgorliwa nauczycielka z podstawówki kazała mi wejść na drabinki tak wysoko, że spanikowałam, co skończyło się tym, że spadłam plecami na materace i na chwilę odebrało mi dech. Myślałam wtedy, że umieram. Ale nie chcę zniechęcać Alfiego. Widać, że nie jest taką fajtłapą, jaką byłam ja – i jaką nadal jestem. Mały naprawdę lubi wuef.

– Brawo! Ale jesteś odważny.

– Liam i Jake powiedzieli, że się popisywałem, i Jake powiedział pani Williams, że go popchnąłem, ale to nieprawda.

No nie. To miał być nowy początek. Nowa szkoła. Nowi koledzy. Nie zniosę, jeśli znowu ktoś się będzie nad nim znęcał. To był główny powód, dla którego tu wróciłam. Oprócz poczucia winy, że tak długo pracuję i muszę zostawić dziecko opiekunce.

Alfie kopie w kamień.

– Jake zawsze mówi takie rzeczy.

Jake Hunter, syn Cathy. Nic dziwnego. Ściskam mocno małą, rozgrzaną rączkę Alfiego.

– Pewnie po prostu ci zazdrości, że wspinasz się lepiej od niego.

– Babcia przyjdzie dziś wieczorem? – pyta, ciągnąc mnie za rękę.

– Jasne. I przyniesie babeczki.

Alfie uśmiecha się szeroko i z radości wyrzuca pięść w górę. Czuję, jak w ciele puszcza mi napięcie. Ta kłótnia z Jakiem Hunterem nie mogła być aż tak straszna, skoro Alfie już o niej zapomniał. I dobrze jest mieć mamę tak blisko. Nie mówiąc już o plaży. Wyjazd z Londynu i zamieszkanie tutaj to była zdecydowanie dobra decyzja. Nawet jeśli oznaczało to pożegnanie z moim małym,

ślicznym mieszkankiem, dobrze płatną pracą, znajomymi (na szczęście jest Facebook) i... hm, właściwie całym moim światem. Dziecko zmienia w życiu wszystko. A kiedy twoje dziecko jest nieszczęśliwe, robisz, co się da, by uśmiech znowu zagóścił na jego twarzy.

Zanim urodził się Alfie, nie byłam w poważnym związku od wielu lat i wcale nie miałam w planach dziecka. Wypracowałam sobie pozycję szefa działu wynajmów w dużej agencji nieruchomości w południowym Londynie, jeździłam srebrnym audi A3, mieszkałam w małym, ale stylowym mieszkaniu na pierwszym piętrze, urządzonym w eleganckim, minimalistycznym stylu, a moje umiejętności kucharskie nie wykraczały zbytnio poza włożenie gotowego dania do mikrofal.

Wtedy zetknęłam się z Michaelem Lewisem, dawnym znajomym ze studiów. Miał to być tylko przelotny romans. Michael jest dziennikarzem śledczym, a to nie jest zawód, który gwarantuje stabilne życie rodzinne, do tego – co tu kryć – ja także lubiłam swoją niezależność. Zostaliśmy – jak to się mówi? – „przyjaciółmi od seksu”. Nie mieliśmy pojęcia, że owocem tej „przyjaźni” będzie Alfie.

Nigdy nie zapomnę miny mojej mamy, kiedy jej o tym powiedziałam. Sama nie wiem, co było dla niej większym szokiem: to, że byłam w ciąży, czy to, że Michael jest czarny.

Michael zachował się wspaniale. I nadal tak robi. Nie spanikował ani nie zaproponował z miejsca pokrycia kosztów skrobanki. Oznajmił, że wesprze mnie w każdej decyzji, którą podejmę. Powiedział, że jeśli zdecyduję się urodzić dziecko, będzie odgrywał w jego wychowaniu taką rolę, jaką ja mu wyznaczę. Nawet zaproponował mi małżeństwo.

Muszę przyznać, że było to kuszące, ale wiedziałam, że robi to tylko ze względu na Alfiego. Poza tym, jeśli byśmy się

pobrali i małżeństwo by nie wyszło – a spójrzmy prawdzie w oczy, ilu parom się to obecnie udaje? – skończyłoby się na tym, że szczerze byśmy się znienawidzili, tak jak moi rodzice, a to nie byłoby dobre dla Alfiego.

Teraz zaś nadal jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi i Alfie ma dobrą relację z tatą, a to znacznie więcej, niż sama doświadczyłam w dzieciństwie.

Alfie macha do kogoś po drugiej stronie ulicy. To kobieta mieszkająca w domku naprzeciwko szkoły. Pochylona nad krzakiem róż prostuje się i odpowiada mu tym samym, trzymając w drugiej ręce sekator. Kilka tygodni temu, kiedy Alfie się przewrócił i obtarł skórę o chodnik, ta kobieta była na tyle miła, że się nim zajęła i opatrzyła mu ranę.

Do głowy przychodzi mi dziwna myśl. A co, jeśli to ona, osoba z widokiem na szkolne boisko, jest Sally McGowan? Jestem niemądra, wiem o tym. Nic nie wskazuje na to, by to była ona, równie dobrze może to być idąca z naprzeciwka kobieta z torbą na kółkach.

Średnia wieku we Flinstead jest wyższa niż w skali całego kraju, jako że ludzie często przenoszą się tutaj na emeryturze. Głównie z Londynu, zwabieni morzem i mniej pospiesznym stylem życia. Nie ma tu nic prócz plaży i jednej ulicy handlowej. Gdy człowiek zapragnie większych atrakcji, musi jechać pół godziny samochodem albo skorzystać z autobusu, jeśli czekanie przez nie wiadomo ile go nie odstrasza. Właśnie dlatego tak bardzo chciałam stąd uciec i zamieszkać w Londynie, gdy tylko skończyłam osiemnaście lat, ale teraz wszystko się zmieniło. Muszę myśleć o Alfiiem.

Po powrocie do domu w mojej małej kuchni – która kiedyś, kiedy wreszcie pomaluję szafki, będzie wyglądać zupełnie inaczej – przygotowuję dla Alfiego jedzenie i wsłuchuję się w dobiegające z salonu znajome dźwięki muzyki

z Gwiezdnych wojen. Nie umiem sobie wyobrazić życia bez Alfiego. Nie miałam pojęcia, jaką radość może nieść ze sobą posiadanie dziecka. I jaki lęk. Biorę kanapkę i staram się nie myśleć, przez jaki koszmar musiała dawno temu przejść matka Robbiego Harrisa. Ale choć staram się ze wszystkich sił, nie mogę odegnać obrazów, które podsyla mi wyobraźnia, że trzymam w ramionach bezwładne, zakrwawione ciało Alfiego.

Zawsze tak mam. Myślę o najgorszych rzeczach, jakie mogą mu się przytrafić. Może wszyscy rodzice tak mają. Może ta ponura wyobraźnia jest nam potrzebna, by chronić nasze dzieci.

Przytulam się do Alfiego na sofie i całuję go w czubek głowy. Co za dziecko mogło wbić pięciolatkowi nóż w serce?

– Wrócę przed dziesiątą – mówię do mamy. – Alfie ma chyba na dziś dość babeczek.

Mama mierzwi Alfiemu świeżo umyte włosy i się śmieje.

– Dobrze, że ciągle gdzieś gonisz, młody człowieku, bo inaczej wyglądałbyś jak zapaśnik sumo.

Alfie odsuwa się od niej i ryczy ze śmiechu.

Po wyjściu z domu wkładam kurtkę i ruszam w stronę domu Liz Blackthorne na spotkanie klubu książkowego, z pochyloną głową stawiając czoła nagłemu uderzeniu wiatru. Wieczory zapadają wcześniej i są coraz chłodniejsze. W powietrzu unosi się zapach wilgotnej ziemi i mokrych liści. Wsuwam ręce do kieszeni i idę dalej.

Liz mieszka przy samej promenadzie. Tutaj wiatr, wiejący znad Morza Północnego, jest jeszcze silniejszy. Jak zwykle przyglądam się każdemu mijanemu domowi. Michael często żartuje, że tak samo jak dziennikarze, pośrednicy nieruchomości są w pracy na okrągło. Podczas gdy on wszędzie szuka jakiejś ciekawej historii, ja wyceniam posesje, piszę w głowie ulotki, szacuję wartość rynkową.

Kiedy mijam pusty dom z zabitymi oknami i zarośniętym ogrodem, mimowolnie zastanawiam się, kto jest jego właścicielem i dlaczego nic z tym nie robi. To mogłoby być przepiękne miejsce, gdyby tylko ktoś je odnowił. Może właściciel zmarł, nie pozostawiwszy testamentu, albo też nie miał żadnych spadkobierców. A może ci już nie potrzebują tego domu. Pomyślcie tylko. Pomyślcie, że ktoś pozwala, by zmarnowała się taka inwestycja. Choć rzeczywiście trzeba by było wydać kupę forsy, żeby doprowadzić go do porządku. W tej okolicy jest wiele takich domów – wyglądają efektownie na zewnątrz, ale w środku wszystko się rozpada.

Dom Liz zbudowany jest w holenderskim stylu. Przypomina mi ludzką twarz: ostro zakończony dwuspadowy dach wygląda jak proste włosy, a dwa półkoliste okna na górnym piętrze są jak oczy z opadającymi powiekami, spoglądające w morze. Uwielbiam go.

- Wejść. - Liz zaprasza mnie do środka i tradycyjnie cmokamy się w policzki.

W kolorowym żakiecie długości trzy czwarte i długimi białymi włosami, które zaplotła w gruby warkocz zwinięty wokół szyi i spuszczonego z przodu na ramię, prezentuje się jeszcze bardziej stylowo niż zazwyczaj. Chciałabym w jej wieku wyglądać choć w połowie tak dobrze jak ona.

Liz prowadzi mnie do jadalni, gdzie pozostała czwórka już siedzi wokół lśniącego mahoniowego stołu, pałaszując oliwki i chipsy oraz popijając wino. Lubię takie pokoje. Półki wypełnione książkami aż po sufit są umieszczone we wnękach po obu stronach kominka, na ścianach wiszą oryginalne obrazy – głównie autorstwa właścicielki – a pod oknem stoi turecka otomana przykryta stylową narzutą i wyłożona poduszkami. Liz potrafi urządzić wnętrze w taki sposób, by nadać mu wygląd artystycznego salonu. Mozaika

wzorów i kolorów, które dopełniają się w niezwykle sposób. To pewnie dlatego, że jest artystką. Jeśli sama spróbowała-
bym czegoś podobnego, wyszedłby kompletny miszmasz. Może powinnam poprosić ją o pomoc w udekorowaniu domu.

– Nie załapałaś się na niezwykle interesującą rozmowę o ekshibicjonistach – informuje mnie.

Rzuca mi rozbawione spojrzenie i uśmiecham się. Czuję, że Liz to moja bratnia dusza. Zawsze ciągnęło mnie do towarzystwa starszych kobiet. Kobiet, które dobrze się czują we własnej skórze. Kobiet, które potrafią być sobą bez poczucia winy i przeproszania za to.

Jedno jest pewne: mama miała rację, zachęcając mnie do wstąpienia do klubu książkowego. Właśnie tego mi było trzeba. Większość moich znajomych z czasów szkolnych dawno wyjechała z miasteczka i chociaż czasem zdarza mi się napotkać jakąś znajomą twarz, niewiele nas łączy. Oczywiście ciągle spotykam się z Tash i innymi koleżankami z Londynu, ale o wiele rzadziej, niżbym chciała. Minęły zaledwie cztery miesiące, od kiedy przeprowadziłam się z powrotem do tej uroczej dziury, jak Tash nieco pogardliwie nazywa Flinstead, ale pod wieloma względami wydaje się, jakby to było całe wieki temu.

Wszystkie kobiety wybuchają śmiechem i kieliszki idą w ruch. Liz podaje mi pusty i wskazuje głową na szeroki wybór butelek na kredensie.

– Obawiam się, że to ja ją zaczęłam – oznajmia Barbara. Na razie mówi pretensjonalnym tonem z wyższych sfer, ale kiedy się więcej napije, przejdzie na swój rodzinny akcent z Birmingham.

Barbara jest lokalną radną, której garderoba składa się głównie z eleganckich czarnych spodni i prostych bluzek. To sporych rozmiarów kobieta, którą nie tylko widać,

ale i słyhać. Przypomina mi moją dawną koleżankę z pracy, głośną i zawsze pewną swego, ale z dystansem do siebie.

– I czemu mnie to nie dziwi? – odpowiadam.

Wybuchają kolejne śmiechy. Najwyraźniej muszę nadrobić parę kieliszków wina. Nawet Maddie, która zwykle zadawała się herbatą, dzisiaj pije alkohol.

– No dobra. – Liz mówi tylko odrobinę głośniej, ale w jakiś sposób przywołuje nas do porządku. – Myślę, że możemy zacząć.

Lekturą na ten wieczór jest *O pocieszeniach, jakie daje filozofia* Alaina de Bottona. Był to wybór Liz, całkowita odmiana od tego, co zwykle czytamy, czyli współczesnej beletrystyki z domieszką dziwacznej klasyki. O tym, co będziemy omawiać za miesiąc, zadecyduje Barbara. Widząc książkę wystającą z jej torebki, wnioskuję, że wybrała *Frankensteina* Mary Shelley. Szczerze mówiąc, liczyłam na coś lżejszego. Coś, co dla odmiany poprawi mi nastrój.

Barbara jak zawsze pierwsza wychodzi z uwagami. To moje czwarte spotkanie i nie kojarzę, żeby spodobała jej się chociaż jedna książka. Oznajmia, że nie interesują jej te myśli wielkich filozofów przeżute na papkę dla mas i jako ktoś, kto w zasadzie porzucił wszelką nadzieję na spotkanie odpowiedniego partnera, nie zgadza się z poglądami Schopenhauera na miłość, będącą rzekomo jedynie środkiem do przekazywania genów.

– No bo niby co to mówi o mnie? Że moje geny nie są warte tego, żeby je przekazać? Choć teraz już i tak jest na to za późno – mruczy do kieliszka. – Chyba że doszłoby do jakiejś boskiej interwencji.

Wszystkie chichoczemy.

– Skoro nie znajdujesz pocieszenia u Schopenhauera, to co powiesz o Nietzschem? – pyta Liz, wpatrując się w Barbarę swoimi dużymi, poważnymi oczami. – Podoba

mi się jego myśl, że te wszystkie trudne sytuacje, które przytrafiają nam się w życiu, tak naprawdę nam służą i że w ich wyniku stajemy się lepszymi ludźmi.

Barbara prycha.

– Przez całe moje życie spadło na mnie tego tyle, że powinnam być teraz wzorem cnoty.

Ja z kolei mówię, że podobają mi się posty ze *Szkoły życia* Alaina de Bottona na Twitterze i Facebooku. Barbara się krzywi.

– Dzięki Bogu nie dałam się wciągnąć w media społecznościowe – oznajmia takim tonem, jak gdybym właśnie przyznała się do czegoś wstydliwego.

Jak to zwykle bywa, po pewnym czasie nasza konwersacja zbacza z Sokratesa, Seneki i innych i zaczynamy rozmawiać o nas samych i o tym, co u nas słychać. Dzisiaj to Jenny znalazła się w ogniu pytań. Jest najmłodszą członkinią klubu. Pielęgniarka świeżo po dyplomie, szczupła, nieśmiała i inteligentna. Ma ciemnoblonde włosy upięte w kucyk oraz upodobanie do krótkich sukienek i kryjących czarnych rajstop. Karen wypytuje ją o jej życie uczuciowe i Jenny jest tym wyraźnie zakłopotana.

Dobrze wiem, jak to jest paść ofiarą przesłuchania Karen. Raz próbowała tego ze mną i czułam się z tym koszmarnie. Nie byłam w nastroju, by wtajemniczać ją w meandry mojej nietypowej relacji z ojcem Alfiego. Nie widziałam powodu, dla którego miałabym się z tego tłumaczyć, i nie lubię być w ten sposób stawiana w centrum uwagi. Jenny, sądząc po jej minie, najwyraźniej ma tak samo.

Nie wiem, czy byłabym w stanie znieść towarzystwo Karen więcej niż raz w miesiącu, a szkoda, ponieważ na pierwszy rzut oka wiele nas łączy. Obie jesteśmy dobrze po trzydziestce i mamy dzieci w wieku szkolnym. Obie uwielbiamy książki. I tak samo jak ja Karen przeniosła się

z Londynu, tyle że kilka lat temu. Wraz z mężem prowadzi firmę graficzną i jest mocno zaangażowana w działalność komitetu rodzicielskiego w szkole Alfiego. Na moim pierwszym spotkaniu klubu książkowego zaczęła dawać mi rady dotyczące życia we Flinstead, jak gdyby to ona była w tej dziedzinie weteranką, a ja żółtodziobem. Kiedy powiedziałam jej, że chodziłam tu do szkoły i że znam to miasto jak własną kieszeń, wyglądała na poirytowaną, jakbym próbowała się popisywać. Może i próbowałam.

Uzupełniam swój kieliszek.

– Dolać jeszcze komuś? – odzywam się z nadzieją, że odwrócę uwagę od Jenny. Ale tylko Barbara reaguje na moją propozycję.

– No więc jak długo się z nim spotykasz? – dopytuje Karen, nachylając się w stronę Jenny. Jej oczy za hipsterskimi okularami wydają się ogromne, a równe końcówki prostych czarnych włosów kołyszą się nad stołem. – Czy to coś poważnego?

Jenny oblewa się rumieńcem. Szyja biednej dziewczyny jest cała w czerwonych plamach i nagle nachodzi mnie chęć, by wybawić ją od nachalnych pytań Karen. Czy ludzie nie mają prawa do życia uczuciowego, o którym nie wiedziałoby całe miasto?

– Tak z ciekawości – wtrącam się. – Słyszała któraś z was o Sally McGowan? – To pierwsza rzecz, która przychodzi mi do głowy.

Karen spogląda na mnie zdumiona. O matko, co mnie podkusiło, żeby o tym wspomnieć? Oto cała ja, najpierw mówię, potem myślę. Liz rzuca mi pytające spojrzenie spod zmarszczonych brwi. A przynajmniej wydaje mi się, że jest ono pytające. Mam wrażenie, że wolałaby, aby dyskusja wróciła do książek. I właśnie o nich powinnam była zagadać.

– Jedyłą Sally McGowan, o której słyszałam, jest małoletnia morderczyni z lat sześćdziesiątych. – Karen spogląda na mnie znad kieliszka i mruga jak sowa. – Pamiętam, jak mama mi o niej opowiadała.

– O Boże, rzeczywiście – odzywa się Maddie. – Jo, chyba nie zamierzasz nas zmusić do czytania książki o niej, co? Bo jeśli tak, to szczerze, nie mam ochoty na nic podobnego. – Wzrusza ramionami. – Dla mnie to zbyt przygnębiające.

Sama jeszcze nie wiem, co myśleć o Maddie. Przypomina mi małego ptaszka: jasne, błyszczące oczy, wечно rozbiegane. Wysoki głos, który przechodzi w szczebiot, kiedy Maddie czymś się ekscytuje. Jej córka pracuje w finansach w jakiejś dużej firmie w londyńskim City. Mam wrażenie, że wykorzystuje matkę. To zapewne znacznie tańsze i wygodniejsze niż wynajęcie opiekunki. Wiem, że moja mama dużo mi pomaga z Alfem, ale nigdy nie oczekiwałam, że miałyby to robić przez cały czas.

– Nie, skądże. Tylko usłyszałam o niej dzisiaj.

– Gdzie? – pyta Liz, niedbale sięgając po oliwkę. – Gdzieś w wiadomościach?

– Nie. Kiedy odbierałam Alfiego ze szkoły, ktoś wspomniał jakąś głupią plotkę. Wiecie, jaka jest ta podstawówka. To gniazdo plotkarskiej rozpusty.

Maddie wybucha śmiechem.

– W zupełności się z tobą zgadzam. Zawsze gdy odbieram wnuczkę, słyszę coś, czego wolałabym nie słyszeć.

– No dawaj, Jo – pogania mnie Liz. Oczy ma szeroko otwarte. Dociekliwe. – Nie trzymaj nas w napięciu.

Hm. Teraz już się z tego nie wykręcę. Wszystkie czekają, co powiem.

– Jestem pewna, że to informacja wyssana z palca, ale podobno ktoś słyszał, że kobieta ta mieszka we Flinstead, oczywiście pod zmienionym nazwiskiem.

- Ja piernicę - wzdycha Jenny.

Barbara kładzie kieliszek na stole i spogląda na mnie z szeroko otwartymi ustami. Policzki płoną jej od alkoholu.

- Moi rodzice mówili, że na pierwszy rzut oka było widać, że ta mała to zło wcielone.

Liz prychna pogardliwie.

- Szczerze mówiąc, wcale by mnie to nie zdziwiło - wtrąca się Karen. - Flinstead wydaje się idealnym miejscem, by ukryć kogoś takiego. Bo kto by jej szukał właśnie tutaj?

Pytanie zawisa w powietrzu bez odpowiedzi. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy też przez tę informację miłą, beztroski nastrój naszego książkowego spotkania gdzieś się ulotnił?

Przeprowadzka z Londynu do nadmorskiego Flinstead miała być dla Joanny i jej synka Alfiego nowym początkiem. Pewnego dnia, rozmawiając z innymi matkami, Jo dowiadyuje się, że w ich sennym miasteczku podobno mieszka pod nowym nazwiskiem słynna morderczyni, która jako nieletnia wbiła małemu chłopcu nóż kuchenny prosto w serce.

Początkowo kobieta bagatelizuje tę informację, jednak szokująca wiadomość nie daje jej spokoju do tego stopnia, że powtarza ją dalej. Plotka zaczyna żyć własnym życiem i rozprzestrzeniać się jak pożar.

Kiedy Joanna wchodzi na Twittera i odczytuje: „plotki potrafią zabijać”, a kilka dni później na szkolnej tablicy ogłoszeń widzi przerobione zdjęcie klasowe, na którym w piersi Alfiego tkwi zakrwawiony nóż, zaczyna baczniej przyglądać się mieszkańcom Flinstead.

**Czy jej synek jest w niebezpieczeństwie?
Kim jest ukrywająca się dzieciobójczyni?**

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-562-4



9 788375 155624

Cena detal. 36,90 zł


WYDAWNICTWO
OTWARTE